

## **Kończy się nam energia**

Ropa naftowa co kilka dni bije cenowe rekordy. Coraz wyższe rachunki na stacjach paliw doprowadzają kierowców do wściekłości. Niedawno zdrożała energia elektryczna, a już mówi się o kolejnych podwyżkach. Podobnie jest z gazem ziemnym. Nawet nasz pocziwy krajowy węgiel staje się coraz droższy i trudniej go kupić. Co się dzieje?

Adam Grzeszak

Gospodarkę światową dotyka pełzający kryzys energetyczny. Polska tkwi w nim po uszy. Tymczasem rozterki targają premierem Donaldem Tuskiem. Jednego dnia nabiera przekonania, że kierowcom trzeba ulżyć i akcyza paliwowa musi zostać zredukowana, drugiego nachodzą go wątpliwości, czy to ma sens, bo przecież skorzystają na tym w pierwszej kolejności pazerne koncerny naftowe. Czy można temu zapobiec? Może lepiej nie obniżać? Niech opozycja nie popędza i nie tupie nogą, bo premier się nie przestraszy. Jego zapał do obniżki skutecznie studzi minister finansów, dla którego podatek akcyzowy jest istotnym elementem wpływów budżetowych. W cenach paliw ponad połowę stanowią podatki: akcyza, opłata drogowa oraz VAT.

Akcyza to tradycyjny podatek od dóbr luksusowych i używek. Paliwa silnikowe stały się dziś jednym i drugim. Skrajnie od nich uzależnieni, nie wyobrażamy sobie życia bez samochodu. Choć ceny rosną, jeździmy coraz więcej. To także skutek koniunktury gospodarczej. Każda nowa inwestycja to kolejne ciężarówki, najpierw wożące cement, stal i cegły na budowę, a potem dostarczające zaopatrzenie i wywożące towary. Przybywa samochodów, a z drogami krucho. Konieczne inwestycje budżet finansuje z części akcyzy oraz specjalnej opłaty paliwowej (ok. 10 gr za litr). Z tego samego źródła idą pieniądze na kolej, bo z drogami żelaznymi też nie jest dobrze, a transport kolejowy, zwłaszcza towarowy, może zmniejszyć przeciążenie dróg kołowych. Każdy grosz akcyzy w cenie litra paliwa ma dla ministra finansów wymiar 100 mln zł wpływów budżetowych. A trzeba dokonać obniżki 15–25 gr/l, by klient poczuł ulgę. Jest nad czym myśleć, zwłaszcza dziś, gdy na rząd sypią się gromy za opieszałość w budowie dróg i autostrad.

Ponad połowę zużywanego w Polsce paliwa stanowi olej napędowy, benzyna tylko 27 proc. Pozostała część to popularny autogaz LPG, będący tańszym substytutem benzyny. W 2007 r. spaliliśmy ponad 23 mln m sześć. (19,4 mln t) paliw silnikowych, o 11 proc. więcej niż rok wcześniej. Minimalnie wzrosło zużycie benzyny (4 proc.), zanotowano niewielki spadek sprzedaży autogazu LPG (o 3 proc.), za to niesłychanie szybko rośnie popyt na olej napędowy. W ciągu minionego roku skoczył aż o 22 proc. To efekt większych potrzeb transportowych polskiej rozwijającej się gospodarki, ale także zmian na rynku samochodowym. Coraz więcej osób, które dotychczas korzystały z aut benzynowych, wyposażonych w instalacje do autogazu, zamienia je na diesle.

LPG nie jest już tak opłacalny jak kiedyś. Sprawily to głównie podwyżki akcyzy paliwowej (w planie jest kolejna), wywalczone przez polskie rafinerie. Autogaz był przez nie traktowany jako forma nieuczciwej konkurencji. Same produkują go w śladowych ilościach, dlatego ponad 90 proc. sprzedawanego w Polsce LPG pochodzi z importu, głównie ze Wschodu (w tym aż 25 proc. z Rosji). Zagraniczny gaz jest więc konkurentem polskiej benzyny, co komplikuje sytuację krajowych rafinerii. Dziś jednak zorientowały się, że wpadły z deszczu pod rynnę, bo nakręciły koniunkturę na diesla i nie są w stanie pokryć szybko rosnącego zapotrzebowania na olej napędowy. I mamy kłopot, bo kryzys z olejem napędowym ma charakter globalny, a szczególnie boleśnie odczuwa go cała Europa. Świadectwem tego jest galopada cen na stacjach paliw.

## **Smutne rachunki**

Rosnące ceny ropy na światowym rynku to tylko drobny fragment naszych problemów energetycznych. Nawet nie najważniejszy, bo ropy jak na razie nie brakuje, a wzrost jej ceny jest amortyzowany przez słabnącą pozycję dolara i rosnącą siłę polskiej waluty. Gorsze jest to, że w coraz większym stopniu stajemy się zależni od importu gotowych paliw. Mało kto na to zwraca uwagę, bo wszystkich emocjonuje sprawa ropy, którą musimy kupować w Rosji. Problem bezpieczeństwa energetycznego potrafimy w Polsce dostrzec tylko wówczas, gdy w tle pojawi się cień Kremla. Nikt nie zwraca uwagi, że w ubiegłym roku aż 36 proc. oleju napędowego pochodziło z importu. Jeśli do tego doliczymy 92 proc. autogazu sprowadzonego z zagranicy, to będziemy mieli skalę naszego (nie)bezpieczeństwa energetycznego. Nawet w dziedzinie benzyn, z którymi dotychczas był raczej problem nadmiaru, mieliśmy ujemny bilans wymiany z zagranicą.

Okazuje się, że polskie dynamicznie rozwijające się koncerny naftowe – Orlen i Lotos – kontrolowane przez państwo, nie są w stanie zapewnić polskiej gospodarce wystarczającej ilości paliw silnikowych. Nie mamy wymaganych przez UE dziewięćdziesięciodniowych zapasów ropy i paliw. Magazynujemy głównie surową ropę, bo łatwiej ją przechowywać. Pojechać się na niej jednak nie da, więc jeśli w którejś z rafinerii – odpukać – dojdzie do awarii (takiej jak choćby niedawno w litewskich Możejkach), dramat gotowy. Będziemy mieli ropę, której nie będzie jak przerobić.

Na dodatek mamy bardzo słabą infrastrukturę paliwową, bo większość magazynów nie jest połączona rurociągami z rafineriami. Rafineria Lotosu w Gdańsku nie ma żadnego rurociągu do tłoczenia benzyn i oleju napędowego. Nie mamy też żadnego rurociągu transgranicznego, którym można byłoby sprowadzać paliwo z zagranicy. Niebudowanie takich rurociągów było elementem polskiej polityki bezpieczeństwa energetycznego. Uważano, że ułatwianie importu paliw będzie osłabiać polskie firmy naftowe. Dziś jednak, gdy nie są one w stanie zapewnić wystarczającej ilości paliw, mamy problem. Obecna infrastruktura do przeładunku importowanych gotowych paliw (w portach i na granicznych stacjach kolejowych) pracuje na maksymalnych obrotach. Jeśli utrzyma się tempo wzrostu importu, to już tylko z powodów logistycznych może zacząć brakować paliwa. Choćby z tak prozaicznego powodu, że brakuje wagonów kolejowych do ich wożenia. A jeśli w kryzysowej sytuacji trzeba będzie radykalnie zwiększyć import? Lepiej nie myśleć, co wtedy będzie. Jeśli więc dziś zgrzytamy zębami widząc ceny na paliwowych dystrybutorach, starajmy się myśleć pozytywnie: dobrze, że z tej rury coś leci do baku.

## **Prąd na kartki?**

Zanim na stacjach benzynowych zobaczymy napisy „paliwa brak”, możemy przypomnieć sobie, co to są planowe wyłączenia prądu i dwudziesty stopień zasilania. Polska elektroenergetyka jest w stanie przedzawałowym – przekonywał Krzysztof Rozen, ekspert z firmy doradczej KPMG podczas niedawnego V Kongresu Nowego Przemysłu. Nikt nie polemizował. Dla ludzi z branży energetycznej to oczywistość.

*– Zawał to tylko kwestia czasu. Mogę nawet opisać warunki, gdy to się może zdarzyć. Na przykład zimą, kiedy temperatura spadnie do –20 stopni. Wiadomo, jak rośnie zapotrzebowanie na energię wraz ze spadkiem temperatury, więc łatwo wyliczyć, kiedy system energetyczny nie wytrzyma – przekonuje Grzegorz Górski, prezes spółki Electrabel Polska, do której należy Elektrownia Połaniec.*

Przyczyna jest prosta: przez 20 lat nikt się elektroenergetyką nie przejmował. Był prąd, więc nie było problemu. Branżą rządzą politycy pod dyktando związkowców. Przyjęto więc specyficzną definicję bezpieczeństwa energetycznego: jest to stan, w którym związki zawodowe są zadowolone i nie grożą protestami. Wyłączenie spod działania mechanizmów rynkowych, żadnych zwolnień, wysoki poziom wynagrodzeń, pakiety socjalne, od których może zakreślić się w głowie – tak zapewniano spokój społeczny w branży. Turbinami w elektrowniach i sypiącymi się liniami przesyłowymi nikt się przejmował, bo nie

groziły strajkiem. Do czasu. Przeżyliśmy już kilka potężnych awarii systemu energetycznego – blackoutów – na skutek strajku wysłużonych urządzeń technicznych.

Zapotrzebowanie na prąd rośnie, możliwości jego produkcji maleją. Dziś te dwie krzywe są bliskie spotkania. Ten rok jeszcze od biedy może uda nam się jakoś przeżyć. W następnym musi zostać wprowadzony system reglamentacji energii, bo jej zwyczajnie zabraknie. Tego można byłoby uniknąć, gdyby pięć lat temu zaczęto intensywną modernizację polskiej elektroenergetyki. Przez najbliższe lata co roku powinny być oddawane do użytku instalacje o mocy 1,5 tys. MW. Tymczasem tyle w sumie uzbiera się ze wszystkich trwających inwestycji. A co z elektrownią atomową, naszą energetyczną nadzieją, o której mówią tyle politycy? Eksperti tylko się uśmiechają. Gdybyśmy dziś postanowili o jej budowie, to może za 20 lat mogłyby ruszyć prace budowlane.

## **Izolacja na własne życzenie**

To może w razie kłopotów uratuje nas energia z importu? W ramach europejskiej solidarności energetycznej, do której wzywamy, niech pomogą nam sąsiedzi. Nic z tych rzeczy. Polska jest praktycznie wyspą w europejskim systemie energetycznym. Połączeń z sąsiadami mamy jak na lekarstwo. Bardziej izolowane są tylko dwa kraje, Wielka Brytania i Hiszpania. One ze względów geograficznych, my z tego samego powodu, z którego nie mamy rurociągów paliwowych czy połączeń gazowych. Dla większego bezpieczeństwa energetycznego. Mógłby nas porazić prąd z zagranicy. W efekcie przez granice możemy przesyłać 1–2 tys. MW, czyli tyle, ile dostarcza jedna elektrownia średniej wielkości. Tymczasem potrzeby Polski to ok. 30 tys. MW.

Problemem jest nie tylko przesłanie energii z zagranicy, ale także w kraju. A przesyłać musimy, bo mamy wyjątkowo niekorzystny rozkład geograficzny energetyki: w północnej połowie kraju działa jedynie kilka elektrowni, reszta jest na południu. Prąd musi płynąć na duże odległości, co jest kosztowne, a przy obecnym stanie sieci przesyłowych coraz trudniejsze do wykonania. – *Sieć przesyłowa jest zdekapitalizowana w 70 proc.* – ocenia wiceminister gospodarki Adam Szejnfeld i dodaje, że decyzje, jakie będzie musiał podjąć w tej sprawie rząd, powinny zapaść 10–15 lat temu. Na razie jednak żadnej nie podjął, bo nie udało się znaleźć wiceministra gospodarki, który zająłby się górnictwem i energetyką.

Energetycy załamują ręce, bo nie tylko budowa nowych linii napotyka dramatyczne problemy prawno-administracyjne, ale nawet modernizacja istniejących. Od siedmiu lat nie można dokończyć budowy linii wysokiego napięcia Bełchatów–Poznań za sprawą blokady, jaką zorganizowało kilku właścicieli nieruchomości koło Kórnik. Z budową linii energetycznych jest dokładnie ta sama sytuacja jak z drogami i autostradami, tylko nikt o tym nie mówi, bo po drutach z prądem się nie jeździ.

## **Drogo i drożej**

Zdaniem Jana Rakowskiego, prezesa spółki EnergoInFarm, energetycy muszą zacząć kampanię informacyjną lojalnie uprzedzając odbiorców, co ich czeka. Żeby wyłączenia nie spadły na nich jak grom z jasnego nieba. Muszą się oswajać z tą myślą i przygotowywać na najgorsze.

W spółkach dystrybucyjnych już trwają ćwiczenia awaryjnego wyłączenia zasilania. Szefowie ubolewają, że pozostało tak niewielu pracowników, którzy pamiętają czasy PRL. Wiedzą, co to jest dwudziesty stopień zasilania i jak umiejętnie sterować siecią w sytuacji deficytu energii. A to spora sztuka. Trwają też przymiarki do radzenia sobie z trudną sytuacją metodami rynkowymi. Chodzi o tworzenie tzw. wirtualnych elektrowni. Polega to na tym, że część odbiorców (głównie przemysłowych) w zamian za obniżkę ceny dobrowolnie godzi się na to, że w krytycznej sytuacji w pierwszej kolejności zostanie pozbawiona prądu. Uwolnione megawaty operator może wówczas rzucić, by ratować duszący się z braku mocy system.

Okazuje się, że na razie nie widać chętnych gotowych do udziału w takich wirtualnych elektrowniach. Polska gospodarka nie przyjmuje do wiadomości, że za chwilę zacznie brakować jej prądu. Uwagi, że w RPA było podobnie, a teraz są planowe wyłączenia, puszczane są mimo uszu. Nikt nie wie, jak zareaguje biznes, gdy się przekona, że to nie żarty. Czy nie zacznie się ucieczka do krajów o stabilniejszej energetyce? Co będzie wówczas z naszą koniunkturą gospodarczą?

Jakby tego było mało, w najbliższym czasie czekają nas mordercze podwyżki cen. Zdaniem prof. Krzysztofa Żmijewskiego, byłego prezesa Polskich Sieci Elektroenergetycznych, w ciągu dwóch najbliższych lat cena energii wzrośnie o sto procent. Ze stu powodów. Wśród nich konieczność znalezienia pieniędzy na inwestycje (potrzeba ok. 60 mld zł) stanowi tylko jedną z pozycji na długiej liście. Wcześniej muszą znaleźć się fundusze na sfinansowanie rozdętych pakietów socjalnych, a te przy nadmiernym (jak to w państwowej firmie) zatrudnieniu to poważny wydatek. Do tego dochodzi renta monopolowa, bo rząd PiS, w ramach troski o bezpieczeństwo energetyczne, dokonał konsolidacji firm branży tworząc kilka lokalnych monopoli. W efekcie dziś wszyscy płaczą, że nie ma żadnej konkurencji, a prawo wyboru dostawcy energii ma charakter czysto teoretyczny.

### **Znikający węgiel**

Na liście jest także drożejący węgiel, od którego polska energetyka jest skrajnie uzależniona. 96 proc. energii wytwarzane jest z węgla kamiennego i brunatnego. Tymczasem pełzający kryzys energetyczny objął również polskie górnictwo. Spada wydobywanie, węgiel drożeje. Energetycy narzekają, że górnicy nie dotrzymują zobowiązań, wymuszają podwyżki. Coraz częściej trzeba ratować się importem węgla kamiennego zza granicy.

Przyczyna tego stanu jest podobna jak w energetyce: sojusz polityków i związkowców doprowadził polskie górnictwo do stanu niewydolności. A to – już na serio – zagraża bezpieczeństwu energetycznemu. Przez kilkanaście lat restrukturyzacji górnictwa cały wysiłek organizacyjny i finansowy skoncentrowany był na górnikach, a nie na kopalniach. Brak inwestycji w modernizację najlepszych zakładów i udostępnianie do eksploatacji nowych złóż spowodowało zapaść wydobywania, z której niełatwo będzie się wyrwać. Spada wydajność (w ubiegłym roku o 8,5 proc.), rosną za to koszty.

Węgiel w polskim bilansie energii pierwotnej ma udział największy. Dzięki niemu (a także sporym złożom gazu) Polska zaliczana jest do grupy krajów UE o najwyższym poziomie niezależności energetycznej. Dotychczas żyliśmy w przekonaniu, że rosyjska ropa czy gaz mogą drożeć albo tanieć, ale my mamy polski węgiel. Tymczasem dziś coraz częściej musimy sięgać po węgiel rosyjski.

### **Unia z zasadami**

Jednak największe koszty czekają nas w związku z koniecznością dostosowania się do coraz ostrzejszych norm ekologicznych w Unii Europejskiej. Zwłaszcza limitów emisji CO<sub>2</sub>, których polska gospodarka otrzymała wyjątkowo niewiele. Trwa teraz walka między przemysłem a energetyką, kto i ile z tej puli powinien dostać, ale wiadomo, że wszyscy dostaną za mało. Elektrownie będą musiały prawa do emisji CO<sub>2</sub> kupować na wolnym rynku, co sprawi, że cena energii bardzo wzrośnie. Niestety, węgiel ma sporo zalet, ale i tę wadę, że nie jest paliwem obojętnym dla środowiska. A po 2013 r. czekają energetykę jeszcze gorsze przejścia, bo UE chce, by prawo do emisji każdej tony gazu elektrownie kupowały na otwartych licytacjach, do których będą stawały firmy z całej UE. To ma wymusić proekologiczne inwestycje. Dla naszych elektrowni, które dziś martwią się, czy zdążą wymienić turbiny przed katastrofą, oznaczać to będzie spore kłopoty. A przecież to nie koniec, bo jest jeszcze program 3x20, który zobowiązuje kraje członkowskie, by do 2020 r. ograniczyły o 20 proc. emisję gazów cieplarnianych, zwiększyły do 20 proc. udział energii odnawialnej w bilansie energetycznym i ograniczenie energochłonności gospodarki o 20 proc.

Zaciskanie pasa i ograniczenie energochłonności to zapewne nasza największa szansa nie tylko na wywiązanie się z zobowiązań, ale po prostu na ratunek w kryzysowej sytuacji. W ostatnich latach sporo w tej dziedzinie zrobiono, zwłaszcza w branżach sprywatyzowanych – w przemyśle cementowym, szklarskim, hutniczym – ale też dużo jest jeszcze do zrobienia. Zwłaszcza w samej branży energetycznej, która marnuje wiele energii podczas niezbyt wydajnej produkcji i przesyłu. Jest więc jeszcze niemało *negawatów* do wyciśnięcia. Negawaty to po prostu zaoszczędzone megawaty. Także w naszym życiu prywatnym da się ich sporo zbierać.

Era drogiej energii, w którą wkraczamy, zmusi nas do wyjątkowo oszczędnego jej dawkowania. Europejskie Stowarzyszenie Przemysłu Naftowego oraz Komisja Europejska rozpoczęły właśnie kampanię pod hasłem „oszczędzaj nie tylko paliwo”. Jej celem jest skłonienie kierowców do przestrzegania kilku prostych zasad ograniczających zużycie, a przy okazji emisję gazów cieplarnianych. Kampania prowadzona jest na europejskich stacjach paliw, także polskich. Warszawska spółka energetyczna RWE Stoen namawia do oszczędzania energii elektrycznej. Producenci materiałów budowlanych promują oszczędzanie energii w domu poprzez termomodernizację. Przeciętny polski dom do ogrzania wymaga 170–240 kWh/m kw., podczas gdy duński – 130–55 kWh/m kw. Wprawdzie paliwa i energia są w Polsce wciąż jeszcze nieco tańsze niż na zachodzie Europy, to jednak w naszych budżetach domowych mają udział dużo większy. A przecież prawdziwe podwyżki dopiero przed nami.

### **Zamienić słowa na kilowaty**

Dziś każdy polski polityk musi publicznie zabrać głos na temat bezpieczeństwa energetycznego. Jak ważna to sprawa i co powinniśmy zrobić, by nasze bezpieczeństwo wzrosło. Nie ma bardziej wyświechtanego, a jednocześnie zakłamanego hasła. Mamy ministrów, pełnomocników do spraw bezpieczeństwa energetycznego i armię urzędników. Dziś nawet mamy do tych spraw samego premiera, bo Donald Tusk nie znalazł nikogo godnego, kto mógłby go zastąpić. Równolegle działa prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, bo Lech Kaczyński z bezpieczeństwa energetycznego uczynił motyw przewodni swej prezydentury.

Wszystkich polityków obowiązują przy tym pewne dogmaty. Najważniejszy brzmi: jeśli czyhają na nas jakieś zagrożenia, to wyłącznie z powodu naszego nadmiernego uzależnienia od dostaw ropy i gazu z Rosji. Mało kogo interesuje, że elektroenergetyka się wali, węgla brakuje, paliwa musimy importować. Nikogo nie obchodzi, że na rynku energii nie ma konkurencji, a monopoliści dyktują klientom swoje warunki. Wszyscy za to dyskutują o ropie z Kazachstanu, rurociągu Odessa–Brody i gazoporcie.

Drugi dogmat, powtarzany od kilkunastu lat, jest następujący: bezpieczeństwo może nam zagwarantować tylko państwo jako właściciel przedsiębiorstw energetycznych i regulator rynku. Choć fakty temu w sposób dramatyczny przeczą. Nieliczne sprywatyzowane firmy (Stoen, GZE, Elektrociepłownie Warszawskie, Połaniec) radzą sobie o wiele lepiej niż państwowe. Inwestują, modernizują, starają się zachowywać racjonalnie w dość nieracjonalnej rzeczywistości. W spółkach państwowych trwa za to dyktat związkowy i kadrowa karuzela politycznych nominatów. Mimo to dominuje przekonanie, że jeśli już musi być prywatyzacja, to najlepiej taka na niby – polegająca na wprowadzaniu pakietu akcji na giełdę. Tak stało się swego czasu z Orlenem, Lotosem, PGNiG, a teraz zapewne stanie się ze spółkami elektroenergetycznymi.

Każdy kolejny rząd ma własne dalekosiężne plany. Trzy lata temu przygotowano rządową politykę energetyczną do 2025 r. Dokument jest już nieaktualny, nawet nikt go nie próbował realizować. Trwają za to prace nad kolejnym – strategią do 2030 r. Zapewne za rok czy dwa zacznie powstawać strategia do 2050 r. Oby prace nie musiały być prowadzone przy świeczkach.

**Adam Grzeszak**